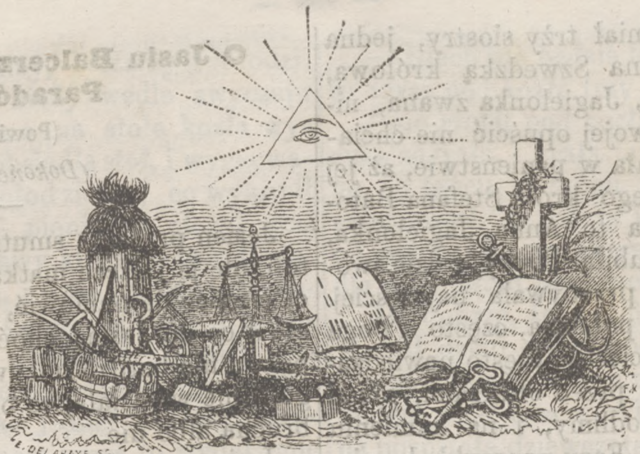
№ 44.

WARSZAWA

2 Listopada

1862.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr 1527.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: Warszawa po wygaśnięciu książąt Mazowieckich II. — O Jasiu Balcerzaku i Antoli Paradównie, powieść (dokończenie).— Różności: Wybory w Kamieńcu Podolskim.

WARSZAWA.

II.

Warszawa po wygaśnięciu książąt Mazowieckich.

Od czasu tedy jak wygaśli książęta Mazowieccy, powoli upada Płock ich stolica, upada i Czerek, drugie po nim miasto, a wznosi się coraz bardziej, i wsławia się Warszawa. Tu przebywa często z dworem swoim owa królowa Bona Włoszka. Gdy Zygmunt I objeżdża szerokie swoje ziemie, gdy ze świetnym orszakiem jeździ z Krakowa do Wilna, w Warszawie jako punkcie środkowym rad wypoczywa. W tym też czasie powstaje tu kaplica świętego Krzyża, teraźniejszy kościół tegoż imienia.

Więcej uczynił jeszcze dla wzrostu Warszawy syn Zygmunta Starego, Zygmunt August, ostatni z rodu Jagiełłów. Gdy bowiem roku 1569 stanęła w Lublinie, owa jedność i związek na wieki obadwa narody łączące, Zygmunt August wyznaczył Warszawę, na miejsce obrad wspólnych, dwom złączonym narodom.

Mądry król ten, *najpracowitszym* przez chłopów nazwany, częściej w Warszawie przebywając, pilniej, potrzeby miasta tego rozpatrywał. Dojrzał tedy, że zbudowanie mostu na Wiśle, pilnem jest i koniecznem. Przetrzebione już wówczas były owe wielkie niegdyś Mazowieckie lasy. Na miejscu dawnych pustek ciągnęły się żyzne role. Odwieczne one dęby, buki i jawory padły dawno pod siekierą. Ale natomiast na Litwie, szumiały jeszcze puszcze szerokie, i tam dla Warszawy, otwierały się życzliwe wielkie skarby drzewa. W puszczach też Litwy, i w ciemnych jej borach, kazał Zygmunt August naścinać dębów, obrobić z nich grube bale, i z dębów litewskich stanął most na koronnej Wiśle. Jak w kochającem się i zgodnem rodzeństwie, dostatek jednego, wspiera w potrzebie drugiego, tak w zgodnem odtąd Litwy z Polską pożyciu, te dwie krainy wspierały się wzajemnie, czem która bogata była, i obydwom dobrze się dla tego działo.

Zygmunt August miał trzy siostry, jedna była Węgierską, jedna Szwedzką królową, najmłodsza zaś Anna, Jagielonką zwana, nigdy miłej ojczyzny swojej opuścić nie chciała, długo też przetrwała w panieństwie, aż jej naród za męża dzielnego króla Stefana Batorego przeznaczył. Ta to Anna Jagielonka, bardzo Warszawę polubiła. Po wyjeździe swojej matki Bony, tu przebywała najczęściej. Opuszczona sierota, a pobożna, często u Boga szukała ratunku, i pociechy, często nawiedzała kościoły, klęczała przed ołtarzami, przed któremi my dziś się modlimy, i na kamieniu kościelnej posadzki u Fary naprzykład, niejedna pewnie jej łza popłynęła. W późnych już latach, za wolą narodu, poszła za mąż za tego, którego naród jej wybrał, a był nim dzielny król Stefan Batory, co w żadnem mieście, a zatem i w Warszawie, nie spoczywał długo, bo życie jego w bojach, a mieszkanie w obozach było. Zostawił jednak pamiątkę w Warszawie: zbudować kazał wielki szpital wojskowy, tam, gdzie dziś przy ulicy Długiej więzienie.

Ów Stefan Batory był drugim z rzędu królem, od czasu, jak ród Jagiełłów na Zygmuncie Auguście się skończył. Po śmierci zaś tego ostatniego Jagiellona, naród postanowił, że już teraz, sam sobie króla wybierać będzie. Że na taki wybór, czyli jak nazywano z łacińska *elekcyję*, zjeżdżać się będą panowie i szlachta, i na kogo się zgodzą, tego ukoronują. A takie zjazdy czyli elekcyje, odbywały się właśnie pod samą Warszawą, na polach wsi Woli. Z takich tedy zjazdów, elekcyj, dobrze mieć się musiała Warszawa, bo ciągnęli do niej ze wszystkich krajów ówczesnej Polski. Więc z Litwy, Rusi, Inflant, Pruss, zdalszych i bliższych ziem i powiatów. Każdy z przyjezdnych nie mało pewno grosza w Warszawie zostawił, i bogacieli się jej mieszkańcy. Tak też urosło, zabudowało się, przyozdobiło się to miasto, i tyle przedstawiało dogodności, że następca Stefana Batorego, Zygmunt III, umyślił z Warszawy zrobić stołeczne miasto, tu stale zamieszkać, i mieszkanie następnym królom zapewnić.

(Dokończenie nastąpi.)

O Jasiu Balcerzaku i o Antoli Paradównie.

(Powieść)

(Dokończenie.)

—

Jesień przeszła smutna i tęskliwa dla Antoli, ale ją jeszcze matka pocieszała, że się ojciec może da namówić, i nie będzie się przeciwił co do Jasia, choć prawdą, to się Kacprowa nie bardzo odzywała o tém do swojego, i nie wiedziała, co on myśli, czy się udobrucha albo nie.

Jasio znowu pracował od rana do wieczora na przewozie, i robotą się ratował na smutek. Przez całą jesień ani razu nie widział Antoli, dziewczyna nie śmiała mu się pokazać, i nie przychodziła na jego czółno, bo markotno jej było, że tak zawiodło się Jasiowi.

Dopiero kiedy nastała zima, i Wisła zamarzła, kiedy ludzie pieszo na Trzy Króle do kościoła przechodzili, spotkali się w kupie Jasio z Antolą, ale mówili o wszystkiem, tylko nie o sobie, i tyle tylko było im miłego, że kiedy się rozeszli, jak wyszli z kościoła, to się oboje na siebie obejrzeli, i serdecznie, a tęskliwie za sobą westchnęli.

Od tych Trzech Króli znowu ogarnęło ich silne kochanie, i zawsze się jakoś spotykali co niedziela, to w kościele, to w karczmie, a nawet i w powszednie dnie widywał ją Jasio w chałupie u ojców Wacha, bo się tam prawie co wieczór schodziły na kądziel dziewczęta, słuchały i opowiadały bajki, śpiewały światowe śpiewki, i płakały nad pieśniami nabożnemi. Tam to nieraz Antola przędła od wieczora do rana nici z najcieńszej przędzy, bo była najsłynniejsza prządka w całej okolicy.

Kończyły się zapusty, a nowych swatów nie było u Poradów. Ani ojcowie, ani parobcy nie odważali się tam posyłać z piwem, a swaty chodzić. Ale Porada nie zważał na to, i kiedy mu swoja powiedziała, żeby się pomiarkował, a nie odstręczał ludzi od dziewuchy, to jej Porada tylko powiedział:

— Nie zrobiłem wam zła na życiu, ani tobie ani dziewusze, to możeta obie wiedzieć, że i teraz nie miarkuję dla niej nic złego, jeno dobre. A że dziewucha zaczeka, to lepiej niech czeka, aniżeli ma tego żałować.

We Wtorek na ostatki, kiedy cała wyspa

się zebrała do karczmy, i starzy i młodzi, i chłopi i kobiety, i kiedy wedle zwyczaju tamtejszego wystawiono na stole kozła wypchanego, a muzyka obsiadła stół, i wygrywała tańce dla każdego młodzieńca, co wykupił zaklętą dziewczynę, i pieniądze złożył pod kozła; pod koniec zabawy kilka dziewcząt stało jeszcze pod piecem, i dwie już zaczęły płakać, że chłopców dla siebie nie mają, i że cała wieś patrzy na nie z żałością. Między niemi stała ze spuszczonemi oczami i Antola. Nie chciało jej się pozostać jednej bez młodzieńca, żeby potém cały post przez to wydarzenie nie rozpowiadali o niej. Dziwiła się tylko, czemu Jasio nie chce jej wykupić. Jasio by to zrobił, ale matka mu szepnęła, jak tylko kozła wystawili, żeby Antoli nie wybierał, a inną dziewczynę. Ale on dotąd żadnej nie wybrał, a ciągle się patrzył na Antolę. Pod koniec markotno mu się zrobiło o Antolę, i szepnął matce do ucha, że ją pójdzie wykupić, a po prośbach i przełożeniu ciotki matka się na to zgodziła.

Podszedł do dziewczyny, i za rękę podprowadził ją do muzyki. Cała karczma poruszyła się, kiedy Jasio stanął koło Antoli, niby dąb kole białej brzózki. Sędziowie na ławie aż pozazdrościli takiej parze, a muzyka tylko się łokciami trącała. Jasio zapytał:

— Wy sędzie na ławicy, powiedźcie cenę, za jaką mi się dostanie ta przepiórka.

Jeden sędzia powiedział:

— Mylisz się młodzieńcu ładny, bo to nie ptaka trzymasz w ręku.

Jasio powiedział:

— Ej ptaka, ptaka, ma skrzydła i ma głos.

Drugi sędzia powiedział:

— To nie ptak, jeno taka panna, jak zorza zaranna. To nie skrzydła ma u ramion, jeno ręce, a głos ma ludzki, nie ptasi, ani pański. A cena wielka; to co masz, nie starczy za nią, za taką panią.

Jasio powiedział:

— Przecieć muszę ją wykupić, bo płacze zaklęta, na co wam tyle z nią turbowania, kiedy ją gwałtem wezmę, jak z dobra woli nie dacie. Dajcie mi tę pannę za trzy talary, dodam wam jeszcze czystego zboża ze trzy miary.

Trzeci sędzia powiedział:

— Niech już będzie twoją na swaty, dawaj tu zaraz pod kozła trzy nowe dukaty.

Jasio rzucił pod kozła trzy pieniądze, muzyka zagrała, i grała tak długo, jak dla nikogo. Oj tańcu, ty tańcu, czemuś ich obojga nie zatańcował, a toś ty ich jeszcze popuszczał od siebie... Oj wy skrzypki lipowe, czemu to dla nich dotąd nie gracie...

Ale dobrze, że Antolę Jasio wykupił, bo wszedł dziad siwy, podobno z nieprawdziwą brodą, i miał na tyce uwiązany worek z popiołem, i bił tym workiem o pułap, a popiół na pozostałe dziewczęta się sypał na ich wstyd i płacz. Chociaż krewni, chociaż bracia, na gwałt wykupywali te wybirki, aby prędzej doszło do ostatniego tańca. I doszło do tego ostatecznego dla wielu tańca. Muzyka grała, ludzie tańcowali, a tańcowali, każdy młodzieniec z swoją panną, każdy żonaty z swoją kobietą. Już skrzypce grać przestały, ludzie tańcowali za basami; przestały basy, jeszcze bęben huczał, to i tego wystarczyło. Ludzie jakby się upili muzyką, tak im niby sama grała w uszach. Przyśpiewek było pełno wesołych, tylko Jasio smutno przyśpiewywał. Antola by w życiu z nikim pod taką nutę i smutne słowa nie umiała tańcować, tylko umiała główką kołysać to od siebie, to do siebie z Jasiem jedynym. Czy oni po karczmie szukali dla siebie szczęścia w życiu, że nie puszczali się z objęcia, aż dopiero kiedy o północy doszedł głos dzwonu kościelnego, i kiedy starzy zawołali:

— Przestać młodzi tańcować, bo post, bo Jezus Chrystus cierpiał za nas rany.

A dziad siwy workiem do tyki uwiązanym walił o pułap, i popiołem co do jednego wystraszył wszystkich z karczmy.

Nastał post, pokuta, i skrucha, i rozmyślanie męki Pańskiej. To smutne i rzewne. Rozrzewniła się i Antola, bo ona tak kochała Boga, rodziców i jedynego Jasia, którego jej ojciec nie dawał, ale miała jeszcze nadzieję, jeszcze jej ta nadzieja, jak ostatnia struna na lipowych skrzypkach grała otuchę w miłosierdziu Bożem. Ale i ta struna jej się rwała, rwała, pękała i... pękła już prawie... Oj żeby jej serce nie pękło... Jasia jedynego, wzięli do miasta, od wójta powieźli go do koszar, siedzi tam na piętrze. Nie wyleci stamtąd do niej, bo nie ptak, a jakby wyskoczył, nogi by

sobie połamał. Jasio został rekrutem. Chodziła do niego matka Balcerka, i przyniosła wieść na wyspę, że Jasia za dwa dni wywiozą do Warszawy, i zostanie żołnierzem, że nie prędko powróci na wyspę, albo nigdy nie powróci. Bo wojna straszna dzieje się w Krymie, bo się tam zeszły siły tureckie, francuzkie i angielskie, nawiozły dużo karabinów, pałaszy i armat, i biją się okrutnie. Balcerka za dwa dni będzie jeszcze u syna z groszem i posiłkiem na drogę, ze łzami i z błogosławieństwem macierzyńskiem.

Płaczu i wyrzekania pełno było w chałupie Balcerzowej, u Paradów znowu była cisza, ale duszna. Porada powiedział tylko swojej:

— Widzisz teraz Jagatko, dla czegom Jasiowi nie chciał dać swojej dziewuchy.

Poradzina nic przeciw temu nie miała, ale przeczuwała, że będzie źle z Antolą. Antola jak słupek niemy się zrobiła, ani słówka do nikogo nie przemówiła, tylko jak cień jaki po chałupie się słaniała, albo gdzie w kątku uklękła, i do modlitwy ręce składała. Cały dzień tak jej przeszedł, ale żeby raz jękła, żeby jej choć jedna łza kapnęła z oczu, byłoby jej lżej. Tymczasem oczy miała suche, i ust nie otworzyła. Kiedy noc nastała, klęczała, i leżała krzyżem w komorze przed obrazkiem swoim Pana Jezusa, co wisiał nad łóżkiem, ale cały czas była jak niema, jak bez tchu.

O świcie matka ją zastała leżącą na ziemi, podniosła ją, zaprowadziła do izby, i posadziła na ławie. Orzeźwiała trochę Antola i słaniała się koło komina przy garnkach i koło gospodarstwa, jak dnia wczorajszego. Ku wieczorowi wyszła do sąsiedniej chałupy i wywołała za oborę Marysię, z którą się kochały oddawna jak dwie rodzone siostry, złożyła ręce do niej i powiedziała:

— Moja złota, moja jedyna, moja święta Marychno, chodź ty ze mną do miasta, do Jasia. Już ich jutro wyprowadzają, niech ja jeszcze choć raz spojrzę na niego w życiu.

Marysia na to:

— A bój się ty Boga, a jakże my pójdziemy tak daleko, ojcowie nas niepuszczą, bo lód na wodzie ma pękać.

Antola na to:

— Ojcom nic nie powiemy, moja święta, pójdziemy same, jak się spać pokładą. Do dnia już wrócimy i nikt o tem wiedzieć nie będzie.

Marysia na to:

— Poszłabym z tobą choć na koniec świata, ale się boję, żeby się z tego co złego nie stało. A cóż my we dwie zrobimy w mieście, i w nocy strasznie jest chodzić tak daleko.

Antola jeszcze na to:

— To kiedy się boisz, powiedz Wachowi, toć może on z tobą pójdzie, a do dnia wrócimy, i nic wiedzieć nie będą.

Dziewczęta się rozeszły. Marysia zaraz poszła do Wacha namówić go do miasta. Wacho przyobiecał, bo dla Marysi nigdyby nóg niepożałował i niewiem czego, bo tak ją bardzo sobie podobał, a też z Jasiem na przewozie całe lato przebyli, i serdeczni dla siebie zostali.

Przed północkiem Marysia podeszła pod komorę Poradów, poruszyła na znak klamkę, wyszła do niej zaraz Antola, i obie poszły do Wacha, co na nie czekał na przyjście u chałupy. W troje przeszli między wierzbami na lód, i po lodzie przez śniegi dostali się do brzegu. Noc była ciemna, straszna, wiatr wschodni wył przeraźliwie, ale młodzi szli brzegiem pośpiesznie, bo ich wszystko pędziło, tych zimno i obawa ojców, a Antolę Jasiowa droga. Wacho z Marysią od czasu do czasu, jakieś słówko do siebie powiedzieli, a Antola z pochyloną główką szła, i ani słówkiem się nie ozwała.

Za dwadzieścia pacierzy byli już w mieście. W mieście głucho i pusto na ulicach. Kamienice pozamykane, tylko się latarnie paliły na rogach, i miesiąc na niebie zaświecał. Spotkali przecie młodzi stróża nocnego, co im pokazał koszary, gdzie rekruci siedzieli. Podeszli do tych koszar, ale brama zamknięta. U bramy stał weteran na warcie, i nie wpuszczał nikogo, to też nie chciał wpuścić i trojga młodych. Prosił go Wacho, prosiła go Marysią, nic nie pomogło, weteran powiedział, że chociażby mu złote góry obiecywali, to ich nie wpuści, bo ma taki rozkaz. Antola jak niemowa patrzała, ani słówka nie rzekła, tylko pierś jej się mocno podnosiła. I byliby nie weszli, gdyby nie siła bólu. Antola padła do nóg weterana i zawołała:

— Puśćcie, puśćcie panie żołnierzu, tylko na kapkę czasu... tylko spojrzę na Jasia i już...

Weteran jak zobaczył ten ból dziewczyny powiedział:

— Ja was tu za nic nie puszczę, i tam was pewno nie puszczą, ale sprobójcie. Idźcie tam na około od kościoła, jest tam mur co się wali, przeleźcie przez niego, to się dostaniecie na wązkie podwórze, z tego podwórza idźcie prósto przez dwie bramy, to traficie na rekrutów. Stoją tam weterani na warcie u drzwi, to ich proście, żeby was puścili.

Podziękowali młodzi weteranowi, i poszli naokoło od kościoła, gdzie się mur walił. Przeszli po gruzach, dostali się na wązkie podwórze, i przez dwie bramy, stanęli u drzwi, gdzie byli rekruci. Pilnowali ich weterani, młodych puścić nie chcieli, i zapytali:

— Skąd wyście, i jakieście tu się w nocy dostali.

— Jesteśmy z Wierzbowéj wyspy, przyszliśmy do Jasia, żeby się z nim pożegnać, powiedział Wacho.

Antola blada jak opłatek zawołała jeszcze:

— Panowie żołnierze, tylko spojrzę na Jasia, przecież go wam nie ubędzie, ani na odrobinę. Dam mu tylko skaplerz Najświętszej Panienki, i tylko spojrzę na niego... bo to już raz ostatni... przed śmiercią... na życiu... a potem pójdę do Ojców na wyspę... ja go nie wezmę... tego Jasia...

Długo młodzi prosili, nic nie pomogło, a starszy kazał odejść Wachowi i Marysi, a Antolę kazał gwałtem wyprowadzić za bramę. Jeden żołnierz uchwycił ją za rękę, i odprowadzał ode drzwi. Dziewczyna z wielkiego żalu opierała się w sieni, i krzykła: Jasiu!..

Głos ten doleciał do wnętrza koszar, poznał go Jasio, przyskoczył do drzwi i zawołał:

— Toś ty wrzasła, Antola? jak się masz, o i Wacho i Marysia przyszli.....

— Wyciągają mnie Jasiu, bądź zdrów mój jedyny. Naści skaplerzyk, powieś go sobie na obronę od wszystkiego złego na świecie. Będzie tu matka u ciebie z rana. Ostaj z Bogiem.

I podała mu skaplerz przez skrzyżowane dwa karabiny we drzwiach. Marysia się rozpłakała głośno. Weterani się obawiali nadejścia rundu, i gwałtem wyprowadzili młodych za bramę.

— Jasiu, jakiś ty szczęśliwy, zawołał panicz Stefan przez okienko we drzwiach, z drugiej strony sieni. Jasiu, ciebie łzy żegnają, a dla mnie żyje tylko obojętność na świecie. Pójdę w świat daleko, i nikt mnie nie pożałuje, chyba mój pies Obal.

Przededniem wszystko troje byli na wyspie, ale zanim przyszli, u ojców Antoli i Marysi było dużo zmartwienia i płaczu. Poradzina, co wiedziała, że jej dziecko leżało krzyżem przez tamtą noc, wstała z łóżka, żeby zobaczyć czy Antola śpi, czy nie śpi, i nieznalazła jej ani w łóżku, ani na ziemi. Poszła do sąsiadów, a tam przez to dowiedzieli się, że i ich dziecka niema. Domysłów było pełno, chodzili po wsi, i jeszcze dowiedzieli się, że Wacha w domu nie ma. We trzech chałupach nie spali z kłopotu i strasznych domysłów.

Na środku wyspy stała na białym kamieniu figura Matki Boskiéj z dzieciątkiem na ręku. Kiedy młodzi przechodzili koło niej, zgięły się kolana Antoli, i taką modlitwę głośno odmawiała:

— Panienko nasza, Opiekunko nasza, Pośredniczko nasza, nieopuszczaj nas! Pod Twoją obronę uciekamy się wszyscy. A daj nam Panie zdrowie i miłość ludzką i pamięć i dobrą wolę. Panienko ochraniaj go płaszczykiem swoim, świętym skaplerzem. Święci Anieli okrywajcie go skrzydłami kiedy będzie spać, a jak wstanie, niech ma zdrowie, niech go nikt nie krzywdzi. Niech nie dozna gniewu Boskiego, złego powietrza, ani głodu. Niech go nagła śmierć ominie. Niech nieopuszcza wiary świętej po dzień śmierci. Święty jego patronie Janie Chrzcicielu, czuwaj nad nim, nad moim Jasiem jedynym, nad synem Balcerki, żeby był zawsze u Boga w łasce, a we czci u ludzi.

— O Jezu kochaj Panie tego szczerego Jasia.

Przy téj modlitwie płakała Marysia klęcząca i Wacho. Ci co szukali jeszcze dziewcząt, jak ujrzeli troje ludzi pod figurą, podeszli zobaczyć, czy to nie młodzi. Paradzina kiedy poznała Antolę, ze łzami zawołała:

— Oj dziecko moje, moje dziecko, co ty wyrabiasz.

Antola się podniosła, szła wiotka bez sił prawie, a tymczasem Wacho tłomaczył się przed swojemi, jak się odbywała ta ich droga do miasta, na pożegnanie z Jasiem.

Wachowi i Marysi dostało się dużo do słu-

chania za to chodzenie, a Antoli nic już Ojcowie nie gadali.

Na drugi dzień po drodze nadwiślańskiej, szła gromada rekrutów z wojskiem ku Warszawie. Za nimi ciągnęły się szeregiem podwody z choremi i z rzeczami, dalej postępowały wózki jedno i parokonne, na których jechały żony, matki i krewni maszerujących rekrutów, kobiety niektóre szły pieszo. Jak tabór cały ominął kościół nad skalistym brzegiem, rekruci zagrzmieli śpiew:

Rozbujały się siwe łabędzie na wodzie,
Zaśpiewali sobie młodzi junacy w pochodzie.
Bywajcie zdrowi wy towarzysze, wy moje,
A słaniajcież się mojej matuli w pokoje.

Co śpiewali o matuli, śpiewali o ojcu, o siostrach i o panience swojéj. Na spoczynku Balcerka pożegnała syna łzami i błogosławieństwem. Jasio wzdychał, patrzał jeszcze za odchodzącą matką. Matka patrzała za Jasiem, ale jej łzy zasłaniały. Póki mu z oczów się nie skryła, Jasio patrzał jeszcze w stronę ku Wierzbowej wyspie, ale jej nie widział, i nie dojrzał tam Antoli leżącej na ziemi u Matki Najświętszéj na białym kamieniu.

Po tygodniu pochodu, otwarła się brama cytadeli Warszawskiej, weszli do fortecy młodzi rekruci i zajęli koszary obrócone oknami ku Wiśle. Całe dnie wpatrywali się w tę królowę rzek polskich, na której słońce skruszyło już lody, która niosła dzień po dniu, noc po nocy, ogromne bryły kry płynące z szumem: od Tatrów, od Krakowa i od Wierzbowej wyspy. Wpatrywali się w Pragę, w kościół dawny Bernardyński z Loretańską kapliczką. Patrzyli w Niebo, czy dużo tam chmur, czy nie dojrzą tam Boga prawdziwego, jedynego Opiekuna, sprawiedliwego sędziego.

Modlili się rekruci, wspominali ojcowskie ogniska, matczyne łzy, serca siostrzyne i żon i miłujących dziewcząt. Nie jeden łzawo wspominał zostawioną dziecinę... Byli tacy, co żartami chcieli swój smutek oszukać, i różni... Cóż więcéj robili rekruci? przymierzali płaszcze, mundury, kaszkiety, ładownice i pasy i szykowali się do dalekiéj drogi, do Krymu, gdzie wojna srodze się rozhasała.

Oj szykujcie się, szykujcie rekruci, nasmarujcie łojem nogi, bo wam wypadnie prędka droga, pędem pobiegniecie, że was końmi trzeba będzie ścigać. Jeszcze dzień, jeszcze tydzień tylko wam siedzieć w Warszawskiéj Cytadeli.

Minął tydzień, i przeczytano rozkaz rekrutom... żeby szli do domów, bo wojna się w Krymie skończyła...

Czy ci młodzi drugi raz na świat się narodzili, czy im drugie nogi przyrosły, czy im siły nowe przybyły, że tak chybko pędzą przez Warszawę, że tak ściskają, i całują po drodze ludzi?...

Panicz Stefan zatrzymał Jasia, i powiada mu przy zdrojach:

— Słuchaj Jasiu, tyś szczęśliwy, ciebie czeka Antola, a mnie tylko obojętność panny Jadwigi.

— Aj paniczu, zawołał Jasio, ja chyba już sam pójdę do panny Jadwigi, i powiem jaki panicz dobry.

— E, bracie, przemówił panicz, na co gwałtem zbijać, co samo nie przystaje do siebie, próżna robota. Branka mię wiela rzeczy nauczyła. Zaproś mnie tylko na swoje wesele, ja ci pomogę we wszystkiem, jak bratu rodzonemu.

— Chodźmy paniczu na mszę, zawołał Jasio, kiedy przechodzili koło kościoła księży Franciszkanów.

Modlili się obaj na mszy, a nazajutrz o świcie razem pojechali parostatkiem górą Wisły. Statek pruł wodę jak nożycami, koła obracane parą podgartywały pod siebie wodę, i pianą ją pokrywały. Wieczorem byli w Puławach, rankiem dojechali wózkiem do Kaźmierza, a przed południem dostali się przed swój kościół na skalistym brzegu. Kościół był otwarty, widać było dużo światła i luda wiele.

Panicz zastąpił drogę dziadkowi, co szedł od plebanji z ogniem do trybularza, i zapytał:

— Co to za nabożeństwo?

Dziadek odpowiedział:

— To umarła tu jedna...

—A co tu słychać z Kuliszek? zapytał panicz.

— A dobrze wszystko, powiedział dziadek, już onegdaj wyszły pierwsze zapowiedzie panny Kuliszyńskiej.

— Ha, Boża wola, do Jasia wyrzekł panicz rażony tą nowiną, oj mówiłem ci bracie, że tyś stokroć szczęśliwszy... Chodźmy zmówić pacierz za nieboszczyków...

Weszli do kościoła, ksiądz śpiewał egzekwije,

lud klęczał, i modlił się. Na marach leżało ciało. Jasio posunął się ku środkowi świątyni, i śród jarzącego światła poznał w trumnie z medalikiem na szyi od Ś̀tej Lipki uwieńczoną kwiatami na wieki śpiącą Antolę.

O planetach straganowych.

—

Nie każdy towar jest rzetelny, nie każda rada dobra, i nie każde słowo wierne, a uczciwe. Na to Bóg dał człowiekowi myśl, żeby prawdę od fałszu rozróżniał, żeby sądził, co złe, a co dobre, co rzetelne, a co nieuczciwe, co rozsądne, a co rozumowi przeciwne. Człowiek co myśl swoją, do takiego rozróżnienia przyucza, nabywa roztropności, daru wielce szacownego. Roztropny człowiek podejść się, oszukać, otumanić nie da, nie przyjmie szychu za złoto, a głupstwa za mądrość nie poczyta. Ale że mało jest roztropnych ludzi, dużo też za to we wszystkiem bałamuctwa. Prawda jest jedna, jak Bóg jeden, a kłamstwa są wielorakie, i człowiek nieroztropny, wielością kłamstw obałamucony, cudnego prawdy oblicza nie widzi. Do bałamuctw takich, co umysł człowieka mącą, a od prawdy go oddalają, należą między innemi owe *senniki* i *planety*, owe bibuły samemi banialukami zadrukowane, a rozkładane po straganach na wyłudzenie nieraz ciężko zapracowanego grosza. Czy jest, aby odrobina prawdy, a choćby tylko i sensu, w tych małych ćwiartkach, i w tych większych książeczkach, co to się *planetami* i *sennikami* nazywają? Weźmy naprzykład *planety*. Zawierają one różne wróżby. Powiadają naprzykład, że dziewczyna urodzona w tym, albo w tym miesiącu jest powierzchowności takiej, a takiej, charakteru takiego, czeka ją przyszłość taka, a taka. Jeżelić prawda byłaby w tych wróżbach, to nie byłoby prawdy ani w katechizmie, ani w całej nauce religij. Bo religija powiada, że dobra wola człowieka i usilna, ciągła praca nad swą moralną poprawą, wespół z łaską Bożą coraz doskonalszym go zrobić, i duszę zbawić może, przez to ciągłe dążenie do dobrego i coraz lepszego. A kiedy to ma być prawdą, że pod jaką człowiek planetą na świat przyjdzie, to już takim, a takim się urodzi, takim zostanie, takim umrze, i taki los mu przeznaczony, to na cóż praca? na co modlitwa o błogosławieństwo Boże? Na co staranie wszelakie o dobro doczesne i o zbawienie wieczne? Zastanowże się człowieku, czy to być może? Prawdą jest: że Bóg stworzył cię wolnym, dał ci rozum i sumienie, sam sobą masz rządzić, uczynki twoje płyną z tego, czy wolną swoją wolę skłonisz do złego, czy do dobrego, czy z wolnego wyboru złą albo dobrą drogą pójdziesz. Za duszę twoję, za to, czyś ją pokalał, pobrudził, zmarnował drogie jej dary, czy też czystą ją uchowałeś, czy to coś w duszy dostał od Boga ulepszyłeś, wydoskonaliłeś, za to wszystko sam odpowiadać będziesz na wielkim sądzie bożym, i za nic będzie tam tłómaczenie, że w Marcu albo w Grudniu urodziłeś się, albo że przyszłaś na świat pod znakiem Bliźniąt, albo Raka, Wagi, czy Niedźwiedzia. Drzewom, roślinom odmówił Bóg duszy. One sobą nie władną, o sobie nie stanowią, za siebie nieodpowiadają. Dąb z dębowego nasienia, dębem wyrośnie, 500 lat na jednem miejscu stać będzie, aż spruchnieje i runie dębem, próchno jego użyzni ziemię, na którą się powalił, i już nic więcej z niego nie pozostanie. Róża nie da sobie ni barwy ni woni, tylko wedle gatunku swego rozwijać się, więdnąć i opadać musi. Lilja nie zrobi się czarna, ani krzak cierniowy winnych jagód nie zrodzi, bo gatunek drzew i roślin postanowiony i zamknięty w nasiennem ziarneczku. Między ludźmi nie ma gatunków. Kto dostał duszę nieśmiertelną, ten jest człowiekiem, i sam ma moc zbawić ją lub zatracić.

W losie też jego i ziemskiej doli, wolna wola jego wiele stanowi. Dobro zdobyć może; a złe przetrzymać z męztwem, i tym sposobem nad niem zapanować i przezwyciężyć je niejako.

Te są prawdy, które człowiek rozważać, według których rządzić się powinien, a nie bałamucić umysłu planetami, wróżbami, i sennikami. Powiedzieć komu, że się urodził pod Wodnikiem, to musi mieć skłonność do pijaństwa, a kto pod Panną do złodziejstwa, a kto w znaku Byka, tego czeka majątek, to byłoby dać mu do wszystkiego złego rozgrzeszenie. Pić będzie, bo taka jego planeta, kraść, bo tak w planecie stoi. Ręce założywszy, czekać na majątek, bo tak planeta wróży. Łgać, bo tak planeta zapowiada. A potém Bóg próżnia-

ków, łgarzy, pijaków, złodziei, niebem nagrodzi, bo cóż oni temu winni, że się pod takiemi znakami rodzili. To nic, że sumienie mówi inaczej. Planeta mówi przeciw sumieniu. Więc pytam się jeszcze, czy godzi się drukować, czy godzi się kupować pisma takie, co przeciw przykazaniu bożemu, i przeciw sumieniu ludzkiemu gadają.

A teraz, zobaczmy jeszcze, ile to tam rzeczy nie tylko religij, ale przeciwnych samemu zdrowemu rozumowi, ile to tam głupstw; na których lada kto, zastanowiwszy się, spostrzedz się może.

Ta sama np. planeta, co mówi, że dziewcze urodzone w końcu Maja, lub w początku Czerwca, bywa kłamliwa; ta sama dalej powiada, że bywa dobra do rady. Śliczna tedy i bezpieczna rada od tego, co prawdy nie mówi.

Druga znów planeta mówi, że dziewczyna urodzona w końcu Grudnia, lub na początku Stycznia jest *bogobojna* i dobra gospodyni, ale przykra dla ludzi, a przecie ludzie ją kochają. Najważniejsza dla niéj rada, niech się w Niedzielę nie umywa, nie czesze i sukni nowéj nie kładzie, bo na ból głowy zachoruje. A wiecie jak ja sobie miarkuję, skąd to zapowiadanie bólu głowy w Niedzielę? Oto, że niewymawiając, są takie dziewczęta, co cały tydzień się nie czeszą, i brudno chodzą. Dopiero jak w Niedzielę przyjdzie splątane włosy czesać, jak połamanym i poszczerbionym grzebieniem nawyrywa niemało, to i niedziwota, że głowa nieraz boli na dobre. Niechby tylko te dziewczęta codzień koło siebie były czyste i staranne, to byśmy zobaczyli, czyby im czesanie w Niedzielę zaszkodziło. Ale najmądrzejszy z tego wszystkiego, jest koniec tej planety:

„Mars jest trzecią planetą, Kozioł jego wywyższeniem, ma moc wielką, Baran i Niedźwiadek, jego domami. Rak jego upadek, nazywa się małem nieszczęściem i grozi ludziom zakłóceniem. Niedźwiadek jest ósmy pan!..“

Dojdźże tu co z tego najmędrsza głowa! Czy tu, aby dwa wyrazy składają się z sobą, i jaka w nich myśl?

A przecie ludzie to kupują, czytają. Czy to nie wstyd dla rozumu ludzkiego.

Dzięki Bogu, że ludzie, którzy choć cokolwiek więcéj mają nauki, nie ciemni, znają się na takich bałamuctwach,— i takim sennikom, planetom, i żadnym wróżbom nie wierzą.

Różności.

Wybory w Kamieńcu Podolskim.—Aby mogły być wybory, potrzeba naprzód zebrać się wszystkim prawo do tego mającym na jeden umówiony dzień, i w jedno miejsce. Jak się tak wszyscy zbiorą razem, to dopiero wspólnie według prawa i porządku radzą. A najpierwéj wybierają z pomiędzy siebie najlepszych, to jest takich, którym wszyscy najwięcéj ufają, za mądrych uczciwych i uczonych uznają. Już tam nie wybiorą takiego, któremu nie wierzą, albo takiego, który nic nieumie i nierozumie. Najlepsi wybrani radzą dopiero nadtem, coby dla wszystkich było dobre, pożyteczne, i potrzebne, a na co rząd pozwoli. W tym to celu właśnie zjeżdżali się obywatele Podola do miasta Kamieńca, w ostatnich dniach Września bieżącego roku. We wszystkich gazetach z wielką radością już o tem głoszono, jak się wszyscy co do jednego zebrali, w największéj spokojności i zgodzie, wszyscy jakby jeden dobrze i uczciwie radzili, więc też teraz tu powtarzać wszystkiego niepotrzeba. Lecz tylko dla uzupełnienia wiadomości w nrze 40 Czytelni Niedzielnéj napisanéj, dodajemy, że uradzono tam także, aby na całem Podolu, po wszystkich wsiach i miastach były szkółki, książki i Nauczyciele, aby koniecznie uczyli się wszyscy, i niezawodnie zrobią tak, że przez całą zimę ogromnie uczyć się będą. Układy między właścicielami ziemskiemi, a włościanami bardzo szybko postępują, i łatwo do skutku dochodzą. Wielka liczba włościan pozawierała układy, jedni godzą się na czynsze, inni znowu odrazu kupują, chociaż nie mają pieniędzy. A że i panom byłoby za ciężko naraz tracić robociznę i ziemie bez pieniędzy oddawać, — więc taki na to wynaleźli sposób, że włościanie tacy, co chcą kupić, to biorą ze skarbu pożyczkę, i panu zaraz płacą,— a do skarbu po trochu częściowo przez wiele lat oddawać będą. Jestto najlepszy sposób, bo bez krzywdy ludzkiéj, a tak łatwo kupić i zapłacić można.

Prenumerata wynosi: w Warszawie roczniers. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90 kwartalnie k. 45—miesięcznie k. 15. Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nic po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 2 Listopada 1862 r.